

# TAM

Ida Huberman

Przełożył z hebrajskiego  
Tomasz Korzeniowski



Wydawnictwo WAM

© Ida Huberman, 2010

© Wydawnictwo WAM, 2010

Redakcja stylistyczna  
Zofia Palowska  
Elżbieta Mazur

Współpraca  
Joanna Skóra

Projekt okładki  
Anna Kaszuba-Dębska

Opracowanie graficzne  
Krzysztof Błażejczyk

ISBN 978-83-7505-521-4

WYDAWNICTWO WAM  
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków  
tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003  
e-mail: [wam@wydawnictwowam.pl](mailto:wam@wydawnictwowam.pl)  
[www.wydawnictwowam.pl](http://www.wydawnictwowam.pl)

DZIAŁ HANDLOWY  
tel. 12 62 93 254-256 • faks 12 43 03 210  
e-mail: [handel@wydawnictwowam.pl](mailto:handel@wydawnictwowam.pl)

KSIĘGARNIA INTERNETOWA  
tel. 12 62 93 260, 12 62 93 446-447  
faks 12 62 93 261  
[e.wydawnictwowam.pl](http://e.wydawnictwowam.pl)

Drukarnia Wydawnictwa WAM  
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

# Spis treści

Stąd tam	5
Tato	9
Róża	17
Dziadek	20
Krwawica	33
Taki Niemiec	40
Wtedy i teraz	53
Na zewnątrz	63
Na poddaszu	67
Narzeczona	72
Sąsiedzi	77
Książd	81
Pociąg przesiedleńców	90
Dom przy ulicy Zgierskiej	95
Zbyt długi raport	108
Przy ulicy Szabazi	113
Balkon	122
Banalna rozmowa w Berlinie	126
Niespodziewana wizyta	130
Filosemita	138

# Stąd tam

Samolot zatacza koła, leci długo i bardzo nisko. Przez małe okienka widać w dole lasy.

Rozciągają się daleko jak ciemny dywan. Nasze oczy odkrywają we wszystkich kierunkach jedynie lasy: splecione, stłoczone, ciemnozielone – zdaje się, że nie mają końca.

Zadziwił mnie, turystkę, ogrom zalesionych terenów. Mimo że lasy Wilna i okolicy należą do wspomnień z wczesnego dzieciństwa, jestem zdziwiona.

Urodziłam się otoczona lasami. Rodzina spędzała wówczas wakacje na letnisku. Ojciec prowadził interesy w mieście i tylko na koniec tygodnia dołączał do nas. Tutaj mama, przy pomocy pokojówki, niańki i bony do dzieci, silną ręką zarządzała całym domem.

Wracaliśmy później do tych lasów wielokrotnie. Z przerwami, ale nieustannie.

Znaliśmy je, dlatego wracaliśmy tu także w ciężkich czasach.

Te lasy służyły nam za schronienie i kryjówkę, osłonę i cmentarz. W czasach sowieckiej władzy chroniły przed zsyłką na syberyjskie stepy. Zostaliśmy w ich cieniu także wtedy, kiedy zmieniały się i walczyły między sobą rządy polskie, litewskie, rosyjskie.

Okupacja niemiecka zastała nas w lesie. Z lasu, w wydłużającej się wciąż kolumnie, wprowadzili nas między mury getta.

Kiedy udało nam się uciec, wróciliśmy tu, żeby szukać ratunku.

Ukryci między drzewami, czekaliśmy na zbliżający się front. Kiedy nadszedł, zaskoczył. Strzelali ze wszystkich stron. Kto strzelał? Niemcy? Rosjanie?

Przedłużająca się i dziwna cisza. Nie ma Niemców, nie ma Rosjan, nikogo. Tylko w dali słyszeć dudnienie ciężkich pojazdów. Od czasu do czasu pojedynczy strzał i znów cisza.

Zostaliśmy w chacie sami. Chłop ze swoją jedyną krową już dawno uciekł w głąb lasu.

– Rosjanie – wyszeptał ktoś z nas wzruszony. Między krzewami dostrzegł parę zbliżających się postaci. Wysocy mężczyźni o szerokich ramionach rozmawiali po rosyjsku. To Sybiracy.

– Sprawdzają sytuację na froncie, zanim nadejdzie wojsko – dodał ktoś inny.

Nagle seria strzałów. I znów cisza. Nie żyją. Mijają godziny, wieczór, noc. Zdaje się, że sama wojna nas ominęła. Godziny ciszy. Tylko delikatny szum liści. Znów seria w oddali. Potem zgrzytanie kół. Wozy pełne rannych niemieckich żołnierzy.

Nagle od strony drogi wybucha pieśń. Smętna pieśń. Głos się nasila.

Grupa niemieckich żołnierzy z pochylonymi głowami. Prowadzi ich rosyjski chłopiec, może szesnastoletni. Karabin gotowy do strzału. Rozkazuje im śpiewać i oni śpiewają.

Poniżeni nazistowscy żołnierze prowadzeni przez młodego chłopca. Niezapomniany widok.

Po pięćdziesięciu latach trudno zlokalizować miejsca, w których przebywaliśmy. W wyobraźni widziałam siebie, jak szybko i z łatwością docieram do domu, służącego nam za kryjówkę. Pamiętałam ścieżkę, na którą dzień za dniem patrzyliśmy z obawą i strachem. Nikt, oprócz mówiącego w jidysz Żyda, siedzącego na brzegu Wilejki i grającego w szachy, nie znał nazwisk, które pamiętaliśmy. Siedział nad rzeką, w której uczyłam się pływać, kiedy miałam trzy lata. Mężczyzna wskazał kierunek. Pojechaliśmy.

Lasy niemal się nie zmieniły. Ale tam, gdzie były piaszczyste drogi, ubito szosy. Nazwy powiatów i ulic zmieniono i przetłumaczono na litewski. Teraz leśną gęstwinę przecinają wielopasmowe arterie.

Cztery godziny jeździliśmy wynajętym autem po leśnych ścieżkach i niczego nie rozpoznaliśmy.

# Tato

Tato miał zwyczaj zabierać mnie na spacerunki po wzniesieniach sadu i mawiać: – Widzisz? Całe to piękno jest dla ciebie, tylko dla ciebie.

Tato był człowiekiem biznesu, miał zdolność przewidywania, a poza tym był energiczny. W wolnych chwilach wiele sił i miłości wkładał w pielęgnowanie sadu. Ogród rozciągał się na wzgórzu. Było tam mnóstwo zagonów z truskawkami i przeróżne rodzaje drzew owocowych: jabłonie, grusze, wiśnie. Najwyżej, w pobliżu ogrodzenia, rosły krzewy czerwonych malin.

Tato, postawny mężczyzna, trzymał moją małą dłoń w swojej. I tak przechadzaliśmy się ścieżkami czarownego ogrodu.

Ogród był bardzo zadbane, drzewa kwitły i było miło przechadzać się po nim, kosztować dojrzałe i soczyste owoce.

Mama gniewała się na tatę za ów zwyczaj spacerów, a głównie za te rozmowy. Po swoim ojcu, rabinie mitnagdzie, przeciwniku chasydyzmu, odziedziczyła życiową mądrość, logikę i rozwagę.



Z biegiem lat, podczas których ustalała się mieszczańska pozycja rodziny w mieście, przymioty te zyskiwały coraz większą wartość.

– To nieprzyzwoite – mawiała mama – przyrzekać małej dziewczynce majątek, który, kiedy nadejdzie czas, przejdzie jako spadek na wszystkie dzieci. Ale tato przed swą najmłodszą córką dalej pysznił się wspaniałością dzieła swych rąk, które przyrzekał tylko jej.

W przeciwieństwie do matki mieszczańskiej, wychowanki Wilna oraz córki uczonego w Torze liberała o szerokich horyzontach, ojciec był z małego litewskiego miasteczka. Dzieciństwo spędził według zwyczajów życia wiejskiego. Pijał mleko prosto od krowy, jeździł na kobyle, ładował na wóz konwie mleka i woził je na targ.

Był jeszcze młody, kiedy przyjechał do miasta. Po pierwszej wojnie światowej zaczął się wzbogacać, początkowo na drobnym handlu, potem dzięki dużym interesom. Otworzył elegancki, mieszczący się na dwóch piętrach sklep w centrum miasta. Szybko nauczył się handlować według zasad wielkiego świata. Sprowadzał wyborny towar, głównie doskonałej jakości futra z wielu krajów Europy. Firma zyskała rozgłos i zaufanie Żydów i chrześcijan, klienci napływali ze wszystkich krańców miasta.

Tato kupował też nieruchomości. Między innymi kompleks budynków, które zwał „podwórzem”. Był to ogromnych rozmiarów teren z wybrukowanymi drogami i chodnikami, prowadzącymi do szeregów wielopiętrowych budynków, ustawionych na kształt litery U. Ponad osiemdziesiąt mieszkań, w których mieszkali i utrzymywali dobrosąsiedzkie kontakty Żydzi i katolicy. Mieszkania różniły się wielkością i jakością. Podobnie było z lokatorami i ich pozycją społeczną. Nasza rodzina zajmowała siedem pokoi.

Na końcu podwórza tato urządził postój konnych wozów, skąd wieśniacy wyruszali z towarem na targ.

Na to dziwne połączenie mama patrzyła krzywym okiem, ale tato przygotował do zagospodarowania tylną część posiadłości i zamienił ją w sad. Dzięki sąsiedztwu z postojem koni ogród był dobrze nawożony. Sad rozkwitał i dodawał miejscu prestiżu i świetności. Postój i ogród, rozciągający się na wzgórzu, rozgraniczała furtka z zielonego drewna. Ścieżki w ogrodzie rozdzielały drzewa, pełne różnych owoców. Kiedy tato trochę zwolnił tempo, a jego wiek kazał mu myśleć o podziale majątku między dorosłe dzieci, wybucha wojna światowa.

Po ucieczce z getta, podczas pobytu w przygotowanej u pewnego samotnego wieśniaka kryjówce,

tato zamknął się w sobie. Stał się niedostępnym, nerwowym milczkiem. Całymi miesiącami siedział skulony gdzieś w kącie kryjówki, z opuszczoną głową i oczami bez wyrazu.

Wraz z wejściem pierwszych żołnierzy Armii Czerwonej, rannych i obszarpanych młodych chłopców, wiedzieliśmy: wyzwolenie miasta jest blisko. Niemcy się wycofują.

Na ulicach wciąż trwały walki. Nagle tato w cudowny sposób ożywił się i odżył. Zostawił nas wszystkich we wsi, w ukryciu, a sam poszedł do miasta.

Po dwóch dniach wrócił rozpromieniony. W ręku trzymał swój zniszczony kapelusz, jak ofiarę kapłana w Świątyni: kapelusz wypełniony wiśniami. Górą czerwonych wiśni.

– Z sadu – powiedział. – Z naszego. Ogród kwitł dziesiątki lat, więc i w tym roku zakwitł.

– To szaleństwo – mówili kiedyś – marnować teren w środku miasta na sad.

– Owoce już dojrzały – powiedział. – Jutro przyjdźcie tam wszyscy. Zaczniemy od nowa – tato uśmiechnął się po raz pierwszy od sześciu lat.

Bombardowanie. Noc. Jedno bum. Potem cała seria.

Z daleka widać rozświetlone miasto. Jasny horyzont, prawie świąteczny, jak fajerwerki. Zer-

kamy przez szczeliny na poddaszu. Rozmawiamy szeptem.

Następnego dnia o świcie, po latach ukrywania się, idziemy do miasta. Niewiele pakunków, ale cięża. Ruszamy pieszo. Powolne tempo. Wielkie zmęczenie długo beczynnych nóg.

Słysać rosyjską piosenkę. Nadjeżdża ciężarówka, którą kieruje sowiecka żołnierka.

– Dokąd? – pyta.

– Do miasta – odpowiadamy.

– Wchodźcie na górę – mówi. – Zabierzemy was. Adres, ulica i numer domu zapisane na kartce.

Żołnierki śpiewają wojenne pieśni.

– Jak ona wygląda, ta mała – mówią, spoglądając na mnie. – Aż strach patrzeć.

Mijamy uliczki przedmieścia. Domy stopniowo olbrzymieją i zacieśniają się wokół nas. Centrum. Nie ma przejazdu, zburzony dom, sterty ruin, cegły rozrzucone na jezdni.

Ciężarówka je omija. Jedzie dalej i staje. Silnik rzezi z wysiłku. Nie ma przejazdu. Żołnierka wysiada i rozpytuje.

Wracamy. W sercu ucisk. Jeszcze nie wiemy o czyhającym nieszczęściu, ale już je przeczuwamy.

Jedziemy dalej. Znów przeszkody. Znów jedziemy. Stajemy.

– To tutaj – mówią – wysiadać.

Szukamy numeru domu. Bramy nie ma, nie istnieje. Nie ma numeru. Dom jest cały. Prawie cały. Wokół ruiny. Wielkie zamieszanie. Wspinamy się po stertach cegieł, fragmentach zburzonych ścian i wchodzimy na podwórze. Wchodzimy po schodach. Drzwi otwarte. Mieszkanie puste. W kącie dużego pokoju łóżko. Pościel rozrzucona, ktoś właśnie wyskoczył z niej w pośpiechu. W innym kącie beczki. Trzy. Może to olej, który tato znalazł i zastanawiał się, czy nadaje się jeszcze do spożycia.

Łóżko puste. Gdzie on jest? Szukamy, pytamy.

Jakiś Żyd kręci się w kółko jak oszalały. Próbujemy z nim rozmawiać, ale nie odpowiada. Zatrzymujemy młodą dziewczynę. Pytamy.

– Na razie naliczyli dwadzieścia dwa ciała – mówi. Jego nie zna. Nie wie.

Wymykam się i błędę między zburzonymi domami. Strach? Ciekawość? Ruch i wędrówka po latach biernego siedzenia w kącie kryjówki. Zawsze razem. I nagle sama, całkowicie sama. Nikt mnie nie szuka, nie zatrzymuje.

Tato obiecał, że tego roku będziemy świętować moje dziesiąte urodziny. W końcu wolni. Urodziny wypadają jutro.

Wchodzę i wychodzę przez oderwane framugi. Spomiędzy ruin wystaje obuta noga. Uciekam. Biegnę. Biegnę bez celu. Czas mija.

Nagle spokojna ulica. Cała. Większość domów zamknięta, żaluzje opuszczone. Mrocznieje. Obawiam się powrotu, ale też wzdragam się przed pozostaniem i nie wiem, jak wrócić.

Przecież nie można, ot tak sobie, podejść do człowieka na ulicy i zapytać. I o co zapytać?

Sama poszukam drogi. Wrócić. Wrócić. Ciemność. O, tam daleko, zburzone domy. Wyglądają jak sylwetki na tle czerwieniejącego nieba.

To tutaj. Wchodzę po schodach. Nikt nie zauważył mojej nieobecności. Nikt nie spostrzegł, że wróciłam. Wchodzę do najbliższego pokoju. Tu jest spokojnie i pusto. Na środku podłogi zauważam dziwną stertę, zakrytą białym prześcieradłem. Podchodzę.

Obok prześcieradła widzę jakiś gęsty płyn. Unoszę kraniec płótna i szarpnięciem ściągam je. Dostrzegam tylko fragmenty pozbieranego ciała taty.

W pierwszym pokoju trwa przyciszona dyskusja. Nikt mnie nie zauważył. Usłyszałam: – Gdyby został w łóżku, żyłby. Bomba spadła na podwórze. Dwóch moich braci odrzuciło do tyłu. Pomimo zranionych nóg, chodzili i zbierali rozrzucone części ciała ojca. Tato był w centrum wybuchu.

Znaleźliśmy mieszkanie i przenieśliśmy się na peryferie. Przewieźliśmy tam trzy beczki oleju, które

znalazł ojciec. Zdaje się, że to był olej przemysłowy. Przez kilka miesięcy stanowił podstawę naszego wyżywienia. Kiedy smażona na nim cebula osłabiała zapach maszynowego smaru, olej był niemal jadalny. Jego osobliwy smak przetrwał w mojej pamięci i zmieszał się z troską taty o ostatnie po nim dziedzictwo.